

# Teatr mój widzę współczesny

Z **KRYSTYNA MEISSNER**, przyszłą dyrektorką wrocławskiego Teatru Współczesnego, rozmawia Iza Michalewicz

- Długo zastanawiała się pani nad przyjęciem propozycji szefowania wrocławskiej scenie?

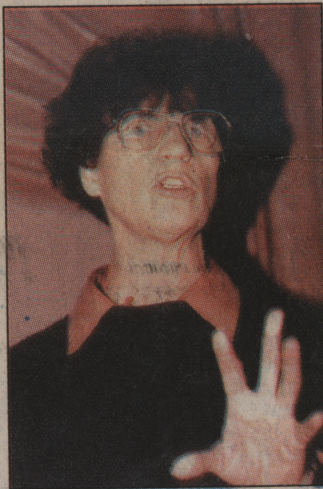
- Niedługo. Propozycja była atrakcyjna pod względem i miasta, i teatru. Teatr Współczesny ma swoją dobrą historię. Mój kolega ze studiów - Kazimierz Braun - pracował właśnie w takim ciekawym okresie. Poza tym jestem w stałym kontakcie z dyrektorem Teatru Polskiego Jackiem Wekslerem, który też zaczynał swoją karierę teatralną we Współczesnym. Ucieszyło mnie również miejsce - ostrzegam Wrocław jako miasto otwarte i takie również mam plany.

- Jakże się te plany?

- Nie chciałabym mówić zbyt dużo, ponieważ zależy to od moich obserwacji. Nie można przyjść z programem, który wymyśli się w domu, a potem dopasowuje do instytucji. Teatr jest żywym organizmem i trzeba mu się dobrze przyjrzeć. Zależy mi na zdobyciu zaufania ludzi tam pracujących, żebyśmy mogli w jakąś stronę pójść razem. Dlatego potrzebuję czasu i przejmę teatr dopiero od stycznia.

- Czy Zbigniew Lesień znajdzie miejsce w pani teatrze?

- Lesień ma szereg propozycji. Oficjalną od Jacka Wekslera, a i w Teatrze Współczesnym może zostać. Od niego tylko będzie zależało, gdzie pójdzie.



- Wielu spekuluje, że wraz z pani osobą przybędzie do wrocławskiego teatru sztandarowy poczet reżyserów...

- To należy rozdzielić. Tak się złożyło, że czołówka reżyserów krakowskich jest już na umowach w Teatrze Polskim. Ich konflikt ze Starym Teatrem spowodował, że chyba chcieli się przewietrzyć. Nie należy tego jednak łączyć z moją osobą. Chciałabym, żeby Teatr Współczesny pod moją dyрекcją był innym teatrem. Nawiasem mówiąc wspomniani Jarocki i Lupa są bardzo kosztowni. Tej placówki po prostu nie będzie na nich stać.

# Teatr mój widzę współczesny

► ze str. 1

- Ale dobrze jest mieć kogoś życzliwego w pobliżu.

- Oczywiście. To są moi przyjaciele i ogromnie się cieszę, że będą blisko i będziemy mogli rozmawiać. Natomiast sama myślę o robieniu innego teatru niż Polski. Musi być jakaś konfrontacja. Byłoby niezręczne i głupie powielanie programu czy nazwisk.

- Rzeczywiście jest pani tak apodyktyczną i nieustraszoną osobą, jak się o pani często mówi i pisze?

- Strasznie mi trudno powiedzieć o sobie coś takiego. Oceniają mnie przecież ludzie z zewnątrz. W Toruniu przepracowałam trzynaście lat, ale chyba nigdy, w żadnym teatrze, nie będę pożegnana tak, jak tam. Mimo że mam w sobie jakieś apodyktyczne cechy, uznano, że tak było dobrze. Jakoś się zgodzaliśmy.

- To dlaczego pani odeszła?

- Niedobrze, jeśli coś się starzeje. Nawet festiwal „Kontakt” opuszczałam w momencie jego pełnego rozkwitu.

- W sferze anegdot znalazła się już historia o tym, jak śmiała pani aktorem Starego Teatru zabrać z bufetu telewizor.

- Zanim jeszcze przyszłam do Starego, byłam niezaakceptowana, o czym nie wiedziałam. Z tym telewizorem to rze-

czywiście śmieszna sprawa. Przeniosłam go do muzeum, gdzie prawie codziennie są spotkania z młodzieżą i na wideo wyświetla się stare nagrania przedstawień słynnych reżyserów. Nie chciałam tak na wejście wydawać pieniędzy na nowy, więc wzięłam ten z bufetu. Jak zespół się strasznie zdenerwował i napisał do mnie list, to natychmiast przyniosłam inny telewizor z pokoju gościnnego. Każdy mój ruch był odbierany negatywnie.

- Podobno za bardzo szła pani na ręce reżyserom...

- Absolutnym obowiązkiem dyrektora jest spełnienie wszystkich warunków, żeby doszło do premiery. Jeżeli postanowiłam, że Jerzy Jarocki zrobi „Fausta”, wiedząc, że to ogromny wysiłek dla teatru, odwołam dwa programowe przedstawienia. Wszystkie środki poszły na ten spektakl. Tutaj zderzyło się raczej moje zdecydowanie i doświadczenie dyrektorskie. Nie apodyktyczność. Wcześniejsi dyrektorzy - mówiąc krótko - dawali sobie wejść na głowę zespołowi.

- Wie pani już, gdzie będzie mieszkała we Wrocławiu?

- Jeszcze nie wiem. Myślę, że prezydent zapewni mi jakieś lokum. Nie mam specjalnych wymagań.

- Dziękuję za rozmowę.